

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 113.

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 671 pół.

Warszawa, 23 listopada 1861 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:

Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3, Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU.

Kasper Bekiesz (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — List z Wilna (z czterema drzeworytami). — Jędrzej Śniadecki (dokończenie). — Bitwa pod rą (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Nauka logiki i jej korzyści. — Wycieczka do Gdańska przez Deoty (ciąg dalszy). — Jedno pytanie. — Korespondencja od redakcyi.

Kasper Bekiesz.

Stefan Batory, będąc obrany królem polskim, aby uprzedzić drugiego elekta, cesarza niemieckiego Maksymiliana, z dwoma tysiącami piechoty i tysiącem jazdy węgierskiej pośpieszył na objęcie korony. Wzięte wtedy posiłki węgierskie, wzmacniane coraz nowymi zaciągami z Siedmiogrodu i Węgier, dosyćlanemi królowi przez brata jego Krzysztofa, wojewodę siedmiogrodzkiego, stały się bardzo ważną pomocą w wojnach jakie prowadził ten król rycerski. Osobliwie pożyteczną była piechota węgierska; Polacy bowiem pogardzali dotąd tym rodzajem broni i walcząc na koniu, zostawiali służbę piechotną najemnym Niemcom, tudzież kmieciom i mieszczanom. Byli to ludzie nienawykli do oręża i niechętni, przy wojnach najbardziej odpornych mało używani; ztąd piechota polska, całkiem zaniedbana, nie miała sławy. Ale król Stefan w swoich wyprawach zaczepnych potrzebował brać miasta warowne, do czego najglówniej służyła mu piechota; nie zastawszy jej w kraju, wszem widząc w szlachcie polskiej wstręt do walczenia pieszo, używał Węgrów, hojnie obsypując ich łaskami. Węgrzy, z przyrodzenia waleczni aż do dzikości prawie, wytrwale znosili trudy obozowe, pracowicie prowadzili podboje, odważnie wdzierali się na waleczne, rzucając się w płomienie. Polacy polskie nie chcieli dać się pokonać, zsiadło z koni i idąc o lepszą z odwiecznymi swymi „bratankami,” pospołu z nimi oblegało Gdańsk i brało twierdze, jak: Połock, Sokół, Zawołocze, Nowel, Wieliz, Wielkie-Luki i t. d. W tylu świetnych potrzebach wojennych zasłynęło wiele imion. Pomijając tu Polaków, wspomniemy niektórych Węgrów, jak Boremissa, Wadasz, Kerali, Barbeli, Bamfa, osobliwie zaś wstawili się dwaj bracia Bekiesze, Kasper i Gabryel, z których starszego Kaspra, jako głowy dotąd żyjącej na Litwie rodziny, podajemy tu

i wpływu na dworze króla Jana z Zapola i sprawowanych poselstw od jego wdowy królowej Izabelli Jagiellonki, Kasper Bekiesz po śmierci ojca pozyskał tenże wpływ i jeszcze większe znaczenie przy dworze Zapolskich, ograniczonych z czasem posiadaniem tylko Siedmiogrodu. Podobnie jak ojciec, używany był Kasper do poselstw; najprzód do Wiednia, gdzie z cesarzem utrwalił pokój; potem do Konstantynopola po dwakroć, i tak się podobał sułtanowi, że mu do dzie-

na dwór siedmiogrodzki przybył z Polski znany herzyarcha Blandrata, od którego Bekiesz przejął naukę aryańską i zaprzyjaźniwszy się ściśle, obadwaj prawie nieograniczenie rządili Siedmiogrodem, zamiast księcia Jana Zygmunta, który w nich położył zupełne zaufanie. Po bezpotomnej przedwczesnej śmierci tego księcia, Kasper Bekiesz, opierając się na jego testamentcie, w którym zapisał mu tron siedmiogrodzki, począł się ubiegać o wielkie księstwo; ale stany siedmiogrodzkie przeniosły nadeń Stefana Batorego, który wyparł swego współzawodnika i zasiadł tron wielkksiążęcy (1571). Kasper Bekiesz, zebrawszy w Niemczech znaczne zaciągi, znowu najechał Siedmiogród i rozpoczął walkę z Batorym. Lecz powtórnie rozbity, stracił nawet własny zamek Fogarasz, tudzież znaczne dobra i musiał szukać przytulku na dworze cesarza Maksymiliana.

Gdy w kilka lat potem Stefan Batory obrany został królem polskim i wielu ze swoich dawniejszych współzawodników zaszczycał w Polsce względami, Bekiesz, znudzony długim tułactwem, zaufał jego wielkiej duszy, razem z bratem Gabryelem przybył do Polski i ofiarował swoje usługi szczęśliwшему przeciwnikowi. Na takie zaufanie Batory odpowiedział prawdziwie rycerskim sercem: nie tylko dawnych uraz zapomniał, ale nadto stał się dla Bekiesza szczerym przyjacielem i dobroczyńcą. Właśnie gdy przybył Bekiesz, król znajdował się w Prusiech, gdzie oblegał miasto Gdańsk, nie chcąc go uznać. Do oblężenia użyte było po największej części zaciężne wojsko węgierskie, osobliwie piechota i artyleria. Król tedy zaraz uczynił Kaspra dowódcą artylleryi i piechoty węgierskiej, a brata jego Gabryela dowódcą jazdy, dawał mu najtrudniejsze zlecenia, zasięgał rady i znajdując w Bekieszu zdolność i szczerę poświęcenie, zaszczycał go wielkim zaufaniem i przyjaźnią, jakie potem okazywał tylko Janowi Zamojskiemu.

Wojna z Gdańskiem była trudną, bo tak obszerne, bogate, nadmorskie miasto nie mogło być opasane dokoła, gdy król nie posiadał marynarki; więc chociaż od strony lądu silnie było gromione, jednak od morza zaopatrywało się w żywność i coraz nowe posiłki z najemnych Niemców, Duńczyków, Szkotów, którymi dowodził biegły w sztuce wojennej Jan z Koni. Oblężenie ciągnęło się długo przez koniec 1576 i większą część 1577 roku. Wojsko królewskie łamało mury, rozbijało wycieczki, zapaliło nadmorską twier-



KACPER BEKIESZ. (Rysował Polkowski, podług lit. w opisie Wilna J. I. Kraszewskiego).

podajemy tu dzicznego herbu Orla noga, przydał półksiężyc i gwiazdę. Książę Jan Zygmunt, wynagradzając zasługi Kaspra, mianował go swoim podskarbinem. W tym czasie

lonii. Oblężenie ciągnęło się długo przez koniec 1576 i większą część 1577 roku. Wojsko królewskie łamało mury, rozbijało wycieczki, zapaliło nadmorską twier-

dę zwaną Latarnią; ale oblężeni, posiadając siły kilka razy większe, łatwo naprawiali wylomy i stawiali opór. Elblążanie, zawistni swoim handlowym współzawodnikom, poradzili królowi, aby przekopawszy Neryngę, wyspę na Wiśle, zwrócił lewą odnogę tej rzeki, zwaną Leniwką i odjął Gdańszczanom korzyści z posiadania portu. Dla obejrzenia Neryngi król wysłał Bekiesza, który znalazłszy to miejsce niedostępnym, radził wrócić do pierwotnego planu dobywania miasta od Latarni. Gdańszczanie, mszcząc się na Elblążanach, zbrali kilkanaście statków, napełnili je wojskiem i podsunawszy się pod Elbląg, zaczęli palić przedmieścia. Król, wcześniej o tym uwiadomiony, posłał Elblążanom na pomoc Bekiesza, który odparł napadających z wielką ich stratą.

Długie oblężenie i klęski zmusiły wreszcie Gdańsk do szczerzego prośbienia o pokój, na który król przystał tym chętniej, że pragnął zwrócić całą swoją uwagę na wschodnie granice, uszczuplane i niepokojone już oddawna. Przez cały rok następny czynił przygotowania do wojny, gromadził pieniądze, zbierał wojsko i osobliwie sposobił artylleryą, lejąc nowe działa według własnego pomysłu i robiąc kule ogniste, które będąc nieznanne przeciwnikowi, bardzo skutecznie potem przykładały się do zdobywania miast. W tych przygotowaniach wojennych Bekiesz był królowi wielką pomocą, bo jako równie biegły wojownik, umiejętnie wykonywał jego myśli. Gdy w połowie 1579 roku, po odbyciu przez króla przeglądzie całego wojska pod Dżisną, wyprawa skierowała się ku Połockowi, Bekiesz otrzymał polecenie z pułkami węgierskimi iść obok wojska litewskiego, prowadzonego przez hetmana Radziwiłła i jakby torować drogę reszcie wojska, przy którym znajdowali się hetman Mielecki i sam król, osobiście dowodzący całymi siłami. Przeszedłszy na wschodni brzeg Dżwiny, w końcu lipca zbliżyło się wojsko ku Połockowi; ale oprócz dwóch rzek, Dżwiny i Poloty, od czasu zdobycia go na Polsce umyślnie zapuszczone lasy uczyniły go jeszcze mniej dostępnym. Bekiesz z piechotą węgierską, przy nadzwyczajnych usiłowaniach, siekierami otworzył szeroką drogę całemu wojsku, i pierwszy ze swemi pułkami zajął stanowisko nad Dżwiną, powyżej Połocka, u jego przedmieścia zwanego Zapolociem. W lewo od niego rozłożyli się Litwini, dalej za Polotą Polacy, a nareszcie Niemcy. Król, wzięwszy Zamojskiego i Bekiesza, obejrzał miasto, i na dzień następny 20 sierpnia wydał rozporządzenia do szturmu. Pierwszy Bekiesz przypuścił szturm od Zapolocia i poczyniwszy przykopy, z dział mury rozwał. Nieprzyjaciel, straciwszy nadzieję utrzymania tej części miasta, zapalił ją i cofnął się do zamku. Węgrzy, przywykli do trudów i karności, prowadzili przykopy dalej przez spalone miasto, „często przez obrzydliwe miejsca“ i podsunęli się aż pod zamek. Bekiesz znowu bił z dział i rzucał kule palące, wymyślone przez samego króla i używane przezeń w Węgrzech z wielkim skutkiem. Ale pod Połockiem i takie kule niewiele pomogły, bo je gasiły ciągle deszcze ulewne. Polota, którą w zwyczajnym jej stanie w bród przechodzą, wzbierała niezmiernie i zniosła most łączący części obozu polskiego. Bekiesz, zebrawszy kilkanaście łódek rybackich, nowy most wystawił, ale i ten wnet armatami z zamku zniósł nieprzyjaciel. Wtedy Bekiesz, widząc że armaty i kule palące nic zrobić nie mogą, wielkimi nagrodami zachęcał bliżej niego stojących, aby pochodniami podpalił zasieki. Wielu rzuciło się pod zamek. Polacy i Litwini wytrwale tam lecieli jedni za drugimi. Wszędzie jednak ich męstwo dzielny spotykało odpór. Nieprzyjaciel staczanemi z murów kłódami, jednych kaléczył, drugich zabijał; ogień gasił usilnie, narażając się na największe niebezpieczeństwo, i chociaż jedni ginęli od strzałów, zastępowali ich inni i zamek się trzymał.

Deszcze i niepogody nie ustawały, przeszkadzając zapaleniu miasta, zalały fossy i ziemię rozmyły tak, iż żołnierz nasz nigdzie ostać się nie mógł. Do trudów oblężenia przyczynił się jeszcze niedostatek żywności, którą trzeba było sprowadzać aż z okolic Wilna, bo nieprzyjaciel opustoszył okolicę: zresztą trzymając poblizkie zamki, przecinał dowóz do obozu polskiego. Ztąd, jak powiada Hejdenstein, z którego skróciliśmy ten opis oblężenia Połocka, cena żywności tak wzrosła, iż co dotąd niesłychanym było w Polsce, korzec owsa 40 talarów kosztował, a Polacy i Węgrzy końskie mięso jedli. Węgrzy jednak wszystkich wytrzymałością przewyższali. Bekiesz nadewszystko, chociaż na reumatyzm i kurcze żołądkowe bardzo cierpiał, nie upadł na duchu i powiadał, że nigdy się lepiej nie miał. Zawsze był przy armatach, tam jadał, tam spał i ciągle w takim niebezpieczeństwie się znajdował, że ci co przy nim byli, „często go krwią swoją bryzgali.“ Dlatego gdy Połock nareszcie 30 sierpnia, po nadzwyczaj odważnym szturmie, poddał się,

Bekiesz, jako najdzielniejszy bohater w tej sprawie, obsypany był łaskami królewskimi, otrzymał starostwo lanckorońskie i na prośbę senatorów litewskich, na pełnej radzie, król „zważając czyny, cnoty i wierność Bekiesza,“ nadał mu prawo obywatelstwa w Koronie i Litwie.

Takie wyniesienie Bekiesza, wysokie dlań względy królewskie i przyjaźń z Zamojskim, urażały hetmana Mikołaja Mieleckiego, który widział w tym ujmę swęj godności, gdy Bekiesz nie chciał ulegać jego władzy. Często pomiędzy nimi z tego powodu zachodziły spory, w których Bekiesz starego hetmana aż do łez doprowadzał. Wzięciem twierdzy Sokoła, zakończyła się wyprawa 1579 r.; król, urządzając ziemię połocką i miasto, kazał Węgom zasypać fossy i przykopy do szturmu porobione, wskazał jak ma być zamek odbudowany, i zostawiwszy armaty w Dziśmie, aby były gotowe do wyprawy na rok następny, pojechał do Wilna. Z królem jechali Zamojski i Bekiesz, przyjmując udział w triumfalnych przyjęciach, jakie po drodze spotykały króla-zwycięzcę. Z Wilna udał się do Grodna, używając tam polowania, jedynę rozrywkę jaką lubił po trudach obowozowych i sprawach rządzenia. Tu zachorował Bekiesz, stargawszy siły w nadzwyczajnych usiłowaniach ostatniej wojny. Ciężka choroba z zaziębienia, dręcząc jego ciało, przejmowała umysł niecierpliwością, w której wyrwały mu się słowa ze zgrozą przytaczane przez pisarzy współczesnych: (Nieba nie żądam, piekła się nie boję). Z tej choroby już nie powstał; umierając 1680 roku, żonę i małe dzieci polecił opiece króla i Zamojskiego.

Jeden i drugi wywiązali się szczerze z położonego w nich zaufania. Król kazał ciało Kaspra Bekiesza przewieźć do Wilna i tam go pogrzebać na wierzchołku jednej z gór otaczających to miasto, gdyż jako aryanin, nie był przyjęty na żaden z cmentarzy chrześcijańskich. Zapewne dla téjże samej przyczyny już na tej górze pogrzebione było nieco pierwej ciało dzielnego pułkownika węgierskiego Mikołaja Wadasza, poległego pod Połockiem od kuli działowej. Nad grobem Bekiesza, na pamiątkę, król Stefan kazał wzniesć okrągłą wieżyczkę, sklepioną z wierzchu, z jednym wejściem od góry zamkowej. Pamięć pogrzebu obudwóch rycerzy węgierskich przechowała się w pięknym poemacie łacińskim pod tytułem „Stephaneis,“ napisanym w r. 1582 przez Prusaka Daniela Hermana. Ustęp dotyczący pogrzebu Bekiesza i Wadasza, przetłumaczył wierszem p. J. I. Kraszewski w swoim dziele „Wilno od początków jego do r. 1750“ w tomie III. Ustęp ten jest następujący:

Podczas ciężką złożony chorobą,
Kasper Bekiesz skończył życie,
A ciało jego pokryte żałobą,
Król wieść kazał do Wilna i na góry szczyt
Grób mu dał, niedaleko miejsca, gdzie mogiła
Wadasza Panończyka na wieki pokryła.
Ten wódz pierwszy był w boju, śmierć nawet w mil-

Z tyłu się nań zakradła,*) kiedy go uniosła,
Gdy Połocko trzymane było w oblężeniu.
Szczęśliwi oba. Obu dłoń królewska wzniosła
I zginąć im nie dała, nawet po ich zgonie;
Bo tam, kędy ich ciała leżą w ziemi łonie,
Król, dla wiecznej ich pamięci,
Pomnik i mogiłę święci.
O litości, przyjaźni, o królewska cnoto!
Z nich tobie przyszłe wieki wieniec sławy spleto.
Niegdyś Bekiesz, zazdrością i dumą pędzony,
Wojny przeciw tobie knował.
Ty, dwa razy zwycięzca, kiedy zwyciężony
Przyszedł do ciebie, winęś mu darował.
Wielki kto kraje podbił mocą swych oręży,
Ale większy ten jeszcze, co siebie zwycięży.
Oto już sława leci przez świata krainy,
I póki Wilia z Wilną u stóp gór tych płynie,
Głośną będzie cześć twoja i chwala i czyny,
Głośne będą w tej krainie,
A góra póki w niebo sięgać będzie głową,
Ludzie będą ją zwali górą Bekieszową.

W istocie dotąd jedna z trzech znaczniejszych gór otaczających Wilno nazywa się Bekieszową albo Bekieszówką. Powiadano że wojsko węgierskie własnymi rękami usypało tę górę, jako niepożyty pomnik walecznemu swemu wodzowi; ale podanie to, mimo swą poetyczność, upaść musi przed rzeczywistością, bo góra ta widocznie jest tegoż składu co Trzykrzyżka i całe pasmo ciągnące się około Wilna. Co się tyczy zbudowanej na niej wieżyczki, stała ona jeszcze przed dwudziestu laty, kiedy p. Kraszewski wydawał swo-

(*) Gdy przy armatach stojąc, naradzał się ze Stanisławem Pękostawskim i innymi dowódcami, osiągnięty z tyłu kulą działową, padł nieżywy.

ję historią miasta Wilna, ale już wtedy osuwam. Bekieszówką groziło jej upadkiem. W istocie już kilku lat razem z odłamem góry i wieża spadła o rzeki. Znalazona wtedy czaszka, tudzież zółta jedwabna czapka, haftowana w różnobarwne wzory, znajdując się do dziś w muzeum archeologicznym wileńskim, jako pozostałość po Kasprze Bekieszu.

Nie zapomniał król Stefan i o sierotach po Kasprze Bekieszu. Jego wdowę wydał za swego dworzanina, także Węgra, Franciszka Wesselina, który otrzymał w Polsce indygenat i nabył znaczne dobra (Paprocki herby. ryc. pols. 884, wydanie Turowskiego). Synów Bekiesza, Władysława i Gabryela, oddał król do szół jezuickich w Wilnie, potem w Pułtusku, a gdy zmarł król dobroczyńca, równie troskliwej opieki doznawali od kanclerza i hetmana wielk. kor. Zamojskiego. Szczególniej odznaczył się walecznością i rozumem starszy Bekiesz, Władysław. Walcząc przy boku hetmana, był ranny pod Byczyną; potem z własnym poczem poszedł do Węgier i bił Turków pod Jawrzymem. Gdy hetman Zamojski wojował na Wołoszczyźnie i wyparł z niej przywłaszczyciela Michał zacięli Wołochom na hospodara młodego Bekiesza dla różnicy w wierze nie chcieli go przyjąć, w Symeona Mozyłę. Zygmunt III, objąwszy rządy Sycylii, zostawił Bekiesza z załogą polską w Kolmarze, gdzie przez stryja królewskiego Karola, przywłaszczającego sobie koronę, oblężony, mężnie się bronił, wreszcie poddawszy się na słowo, mimo to długo był trzymany w więzieniu. Następnie pośredniczył w korespondencji między Zamojskim i tymże Karolem Sudermańskim. Za swe zasługi otrzymał starostwa wschowskie, preiśkie, braclawskie i hanzeleńskie, nadto razem z bratem Gabryelem na sejmie 1593 r. uzyskał prawo obywatelstwa polskiego (Vol. Leg. 44—345). Chociaż ojcu ich i stryjowi już poprzednio w czasie wyprawy połockiej nadane zostało obywatelstwo, teraz król Zygmunt i stany udzielały je synom dlatego, że się urodzili pierwej, nim ojciec otrzymał nobilitacyą w Polsce.

Zostaje nam powiedzieć jeszcze o drugim ze sławnych Bekieszów, Gabryelu, który, ile sędzić może ze wzmianek o nim, nie zostawił potomstwa. Razem z bratem Kasprem dzielł trudy wojenne pod Gdańskiem i Połockiem; lecz imię jego występuje jaśniej dopiero po śmierci Kaspra, chociaż i wtedy Hejdenstein (II—178, wydanie Wolffa) i Albertrandy (Pannowanie Henryka Wal. i Stefana Batorego, tom II str. 401), biorą ich za jedno, przypisując wszystko Kasprowi. Tak przed wyprawą pod Wielkie-Łuki w sprawie Ościka, na jego żądanie przysłał mu król Bekiesza, naturalnie Gabryela a nie Kaspra, bo ten już żył, dla uczynienia tajemnych zwierzeń. Gdy Ościk stracony został za swoją zdradę, król odjęte mu dobra Owantę, nadał Gabryelowi Bekieszowi. W czasie powtórnej wyprawy moskiewskiej, Gabryel dowodził piechotą węgierską i przyjmował udział w zdobyciu Zawolocz, Wielkich Łuk, Newla i innych miast warownych. W trudnym i niezmiernie uporczywym szturmie Pskowa walczył z nadzwyczajną odwagą, która mu wielką sławę ale zarazem i śmierć przyniosła. Miasto oddawna oczekiwało oblężenia, dlatego przygotowało się aby je długo wytrzymać i odeprzeć. Wiedząc o tym król i przytem za mało mając prochu do długiego oblężenia, postanowił gwałtownym wysileniem zadać mu szybki i stanowczy cios. Hetman Zamojski czynnie prowadził przykopy i straszliwie bijąc z dział, prędko w murach porobił wylomy. Wtedy Polacy i Węgrzy rzucili się do szturmu; pierwsi zajęli wieżę świnięską, drudzy pokrowską. Już z obudwóch rozwiewały się chorągwie polskie, już piechota przebierała się do miasta; wylekły nieprzyjaciel zaczął pierzchać i zwycięstwo zdawało się niezawodne. Aby je uzupełnić, Gabryel Bekiesz ruszył ze swoją jazdą, śmiało przebijając wały i płomienie. Ale kiedy głębiej chce zapuścić się w miasto, niespodzianie zatrzymują go na drodze świeże rowy i palisady. Odwala je siekierami, a tymczasem dowódca Jan Szujski i władysław, wyniosłszy świętości, wmuja uciekających i skłaniają do nowych w skutkiem których zapaliła się wieża na którą wdarły się Polacy; płomień zmusza ich do odwrotu, poczęli cały impet oblężonych zwracać się przeciwko Węgom i Ci mężnie dotrzymują kroku. W niezmierniej walce z ciżbie, Gabryel Bekiesz, dwiema przeszyty kulami, pada bohaterką śmiercią, a obok niego wiele z polskiego i węgierskiego rycerstwa; szturm odbity i oblężenie ciągnęło się potem długo, dopóki go nie zakończył pokój zapolski.

Tyle znaleźliśmy wspomnień o sławnych przychodniach, którzy w nowej ojczyźnie tak świetnymi czynami dokupili się obywatelstwa.

Od Bekiesza, nazwano jeszcze u nas malowniczy strój przejęty od Węgrów. Bekiesza podobna do

mary, tylko dłuższa od niej, za kolana spadająca i futrem podbita, a na piersiach sut emi oszyta pętlcami, nie krępując zwrotów ciała, osobliwie też rąk, była suknią ulubioną Polakom, bo wybornie się nadawała w czasie potrzeby rycerskiej lub polowania. W takim stroju przedstawiony Bekiesz na naszym portrecie, tak samo najczęściej malują Stefana Batorego. Lecz chociaż król był pięknym, dorodnym mężczyzną, musiał Bekiesz jeszcze piękniej strój ten nosić, gdy od niego zostało mu nazwisko.

Wojciech Grochowski.

Kronika tygodniowa.

Jednym z najważniejszych zdarzeń ubiegłego tygodnia jest spadnięcie śniegu, bielejącego dotąd po dachach dachów naszego miasta.

Niejednemu z czytelników dziwnym wydać się będzie, że okoliczności na pozór tak drobnej, głębokie nadajemy znaczenie; lecz gdy zastanowią się nad przyczyną, bez wątpienia przyznają nam słuszność.

Śnieg ten bowiem zapowiada nam, że już zima zaczęła się na piękne, pomimo iż astronomowie obiecywali nam jesień aż do końca grudnia.

Dziwna rzecz! Na co zdadzą się wszelkie prawa i przepisy astronomiczne, jeżeli przyroda nie myśli wcale do nich się zastosować? Ludzie ślepo holdujący nauce, z własną szkodą przekonują się, że niezawsze kalendarzowi wierzyć można. We wszystkich kalendarzach naszych, nie wyjmując nawet ilustrowanego, wyraźnie napisano: początek zimy dnia 22 grudnia, o godzinie 2 m. 36 wieczorem. Jaki taki zwolennik astronomii ubiera się w jesienne palety, obuwie lekkie i inne tym podobne akcesorya jesienne; tymczasem, ni ztąd ni z owąd, śnieg łapie go w pośrodku drogi, przeziębienia, zakatarza i na parę tygodni pakuje do łóżka.

Pytamy więc, czy nauka jest na co przydatna? czy warto przez lat kilkanaście wycierać ławki szkolne i uniwersyteckie, aby później tak przykrego doznawać zawodu? Jeżeli już kalendarzowi wierzyć nie można, to po cóż tę zgnębną księgę rozrzucają wydawcy w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy pomiędzy publiczność? Jeżeli astronomia, która podobno opiera się na niewzruszonych prawdach matematycznych, głosi nieprawdę, to dziwić się należy po co ludzie utrzymują kosztowne obserwatoria czyli gwiazdarnie i nader drogie skupują instrumenta. Wiemy że pomiędzy naszymi gwiazdźdźdźkami powstanie oburzenie przeciw profanom, którzy nie pojmują ich nauki; ale prosimy, niech nam rozwiążą tę zagadkę, dlaczego zapowiadają zimę na koniec grudnia, a śnieg pada w listopadzie?

Pora zimowa ma jeszcze te niedogodności, że w niej dzień bywa krótszy, a więc bez światła, mianowicie też w ciemnych sieniach i na ciemniejszych jeszcze wschodach, obejść się niepodobna; a u nas, na przykład wszystkim miastom ucylizowanego świata, żaden właściciel domu nie zwykł oświetlać ani sieni, ani wschodów w swojej posesyi. Rzecz to bardzo niedogodna, i w istocie mielibyśmy ochotę zaproponować, aby oświetlenie sieni i wschodów było przymusowym. Jeżeli bowiem wszyscy pedagogowie i ekonomiści doszli w ostatnich czasach do odkrycia tej wielkiej prawdy, że chcąc podnieść lud wiejski i uboższy miejski do pewnego stopnia oświaty, należy zaprowadzić nauczanie przymusowe, nie wiemy dlaczego nie możnaby zastosować tej samej zasady do oświecania czyli oświetlenia wschodów i sieni? Tak tam jak i tu człowiek bez światła błądzi i naraża się na szkody; a chociaż tamto odnosi się do potrzeb duchowych, to zaś do potrzeb cielesnych, jednego wszakże od drugiego odłączać nie należy, bo wiadomo że ciało i dusza są nierozdzielne, aż dopiero w chwili skonu, a my mówimy o potrzebach żyjących.

Wszelako projekt nasz waha się wytoczyć przed publiczność, gdyż zamiast zrobić jej wygodę, mogliśmy, mimo najszerszej chęci, narazić ją na straty. Gdyby bowiem, na wniosek nasz, nakazano przymusowe oświetlenie domów i sieni, podobnie jak ulic, to właściciele—pessymiści, nieznacznym czując uszczerbek w kieszeni, znacznieby może podnieśli komorne, a wtedy lokatorowie nikomu innemu jak tylko nam przypisałiby winę. Dlatego wniosek nasz cofamy.

Uważamy także za obowiązek kronikarski uprzedzić wszystkich przybywających do stolicy, aby strzegli się przechadzek wieczornych po ulicach, chcąc bowiem nie uleść kalęctwu, potrzeba brać chyba lekcy chodzenia po nadzwyczaj wygładzonych chodnikach ciosowych, czyli, jak zwykle nazywają war-

szawianie, flizach. Skutkiem długoletniej służby publicznej, nabrały one nieopisaniej ślizkości, tak iż dosyć jeden krok nieostrożnie postawić, a można zrobić niebezpieczne *salto mortale*.

Gdzieindziej kamienie zbyt wygładzone zastępują nowymi, albo też stare co parę lat nasiekując, utrzymują w przyzwoitym rygorze; u nas troskliwość ta, przy nazwyczajeniu się publiczności do zręcznego stapania, byłaby zbyt niepotrzebnym, i dlatego ostrzeżenie nasze odnosi się tylko do podróży, przybywających po raz pierwszy w ziemie do Warszawy.

Rozpatrując się głębiej w niedogodnościach jakie nam zima przynosi, musimy porzucić ton lekki którym rozpoczęliśmy dzisiejszą kronikę, a zając się poważniej jej następstwami.

Uboga klasa mieszkańców najdotkliwiej ją uczuje. Kwestyją opału poruszyliśmy niedawno; drożyzna i brak jego srodze uciska biedaków, nie mogących zrobić sobie zapasów zimowych. Kwesty zbierane na ten cel, niejedną lżę obetrą, wszelako złemu nie zaradzą. Tu trzebaby gruntowniejszego zapobieżenia, a takim być może tylko założenie składów drzewa i węgla kamiennego, gdzieby ubodzy w najmniejszej nawet ilości mogli sobie zakupywać opał na codzienne potrzeby. Istniejący dziś skład węgla kamiennego przy kolei żelaznej, za drogo ten artykuł sprzedaje i za skrupulatnie go mierzy. Tu sprzedaż tylko na wagę może być odpowiednią; miara zaś przy wszelkich artykułach bryłowych używana być nie powinna.

Prawdziwą przysługę miastu wyrządziłaby administracja kolei żelaznej, gdyby na swoją rękę otworzyła skład węgla kamiennych, bo mając po temu środki kredytu, uproszczenia i tanioci dostawy, a zadowalniając się, jak wszelkie stowarzyszenie, niewysokim procentem, byłaby w stanie sprzedawać węgle taniej od prywatnych przedsiębiorców.

Drugą ważną niedogodnością zimy jest zwykłe podnoszenie się w tej porze cen wszystkich przedmiotów żywności. Kto nie może zrobić zapasów na zimę, z powodu braku zasobów, ten bywa zmuszonym przebyć ją o groszowym codziennym kupnie. Zaradzić temu na pozór zdaje się trudno, lecz trudność tę usuwa wyborny artykuł „o żywności“, zamieszczony w Przyjacielu zdrowia. Autor radzi zaprowadzenie w naszym mieście *obiadów garnuszkowych*, za pomocą których w miastach większych żywić można ludność ubogą najłatwiej, najtaniej i najsmaczniej. Stowarzyszenie w tym celu osób dobroczynnych, które dzisiaj rozdają jałmużnę pojedynczym ubogim, albo optacają pewny datek miesięcznie lub rocznie na instytucje dobroczynne, mogłoby niezmiernie oddać usługi ubogim naszym braciom; raz bowiem złożony kapitał, zwracałby się nieustannie przez zapłatę za obiady takie, brane z zakładów rozrzuconych po mieście.

Celem stowarzyszenia byłoby nie rozdawać darmo żywności, ale dostarczać jej za cenę najtańszą, bez najmniejszego zysku, rodzinom i osobom niezamożnym. Ubogi ziemieślnik, płacąc za obiad gotówką, miałby pożywienie dla siebie i rodziny, a żona jego, uwolniona od zajmowania się kuchnią, znalazłaby czas do zarobku i zajmowania się dziećmi.

W takim jednak przedsięwzięciu trzeba niesłychanej sumiennosci, a więc powierzenia kuchni *garnuszkowej* w ręce ludzi nieposzlakowanej poczciwości, a obeznanych dobrze z domowym gospodarstwem. Artykuły żywności należy zakupywać z pierwszej ręki, zdrowe i ile można ryczałtem, dla uzyskania tanioci. Odsyłając ciekawych po szczegóły do *Przyjaciela zdrowia*, cieszymy się bardzo że redakcyja tego pisma na przedmiot ten zwróciła uwagę publiczną.

Podczas kiedy u nas księgarne narzekają w ogólnosci na zmniejszenie się ruchu handlowego i wstrzymują się z wszelkiem wydawnictwem, inaczej dzieje się za granicą. Lacroix, księgarz w Brukselli, zakupił powieść społeczną *Les misérables*, owoc trzydziestoletnich studyów nad społeczeństwem, czynionych przez Wiktora Hugo. Powieść ta wyjdzie w trzech seryach, każda po 2—4 tomów, a tom pojedynczy kosztować ma 6—7½ franków. Cena ta zapewne wyjdzie się dosyć wysoką, ale nie zadziwi nas bynajmniej, gdy się dowiemy że nakładca zapłacił za tę ostatnią pracę autora legendy wieków 1,000,000, wyraźnie *milion franków*. Takie to płacą dziś honorarya na Zachodzie!

Niejeden z mających u nas pretensyją do maczania pióra w kałamarzu, obwiniać będzie los zawistny, że jego nie zrobił Wiktorem Hugo, a poety francuzkiego nie przeniósł do Polski, iżby mu tutaj za karę że zbyt wiele posiada talentu, zapłacono za 30letnią pracę jakie parę tysięcy złotych, a potem jeszcze wysmagano we wszystkich peryodycznych pismach. Na pocieszenie jednak zawiedzionych pretensyj i usprawiedliwienie niesłusznie obwinionego losu, możemy

solennie przyrzec pokrzywdzonym, iż za paręset lat i u nas znakomicie podniosą się honorarya, bo daleko więcej niż dziś ludzi będzie umiało czytać, a liczba księgarń podwoi się niezawodnie.

Że na tém ogół wiele zyska, wątpić nie należy, zwłaszcza iż dziś już widzimy znakomite postępy na tej drodze, nietylko w honoraryach autorskich, ale nawet w drobnostkach. Nie szukając daleko, zwracamy uwagę naszych czytelników na ogłoszenie przed kilką dniami zamieszczone w Kuryerku. Czytamy tam, iż pewien zakład fryzjerski, „*chcąc przyjść w pomoc ogółowi*, strzyże włosy po takiej cenie jak w raturach, a nadto i od fryzowania zmienioną została cena.“ Widzimy więc że ogół teraz już taniej strzyżonym i fryzowanym będzie. Dotąd wprawdzie gołono go niekiedy bez mydła, a niezwykłą w tym względzie biegłością odznaczał się szulerzy i lichwiarze. Dziś pierwsze z tych szlachetnych zatrudnień, skutkiem dziwnej wsteczności naszego społeczeństwa, niezmiernie upadło; drugie jeszcze prosperuje i jak się zdaje długo prosperować będzie. Wszelako nie należy rozpaczać, bo powoli, chociaż bardzo powoli, wszystko się zmienia i ogół jest na drodze do coraz lepszego bytu w przyszłości.

Słychać nawet że w armii separatystów południowo-amerykańskich, zaprowadzono machinę wynalazku inżyniera Bread, do golenia ochotników. Na właściwą komendę stają szeregiem podług wzrostu, i za danym znakiem olbrzymi, namydłony pędzel, poruszany parą, przelatuje z szybkością błyskawicy z prawego skrzydła na lewe po twarzach i jednym pociągnięciem mydli brody; za drugim znakiem w ślad pędzi brzytwa i goli wszystkich z prawej strony; za trzecim wraca pędzel od lewego na prawe skrzydło, a brzytwa kończy operacyją za czwartym znakiem. Tak w ciągu dwóch minut ośmset ochotników odświeża się, za cenę dwóch funtów węgla, które zużywa w tym przeciągu czasu lokomobila. Otóż widzimy ile zyskał ogół amerykański na zastosowaniu pary do balwierstwa.

Cóż dopiero za paręset lat, gdy i w Europie, we wszystkich zakładach i fryzjerskich i n'efryzjerskich, machiny zaczną pełnić wszystkie ludzkie obowiązki. Szczęśliwy ogół może spodziewać się wtedy, iż nawet za niego myśleć będą silnie parowe, a w końcu, z upływem wieków, sam zamieni się w parę i zniknie z powierzchni ziemi.

Nakładem i drukiem księgarni Artzta w Lublinie wyszła w przekładzie polskim *Duma o Hiawacie*, Henryka Longfellowa.

Utwór ten poety amerykańskiego zawiera mnóstwo pięknych ustępów, a całość cechuje prawdziwe poetyczne natchnienie. Potrzeba oddać sprawiedliwość tłumaczowi, panu Feliksowi Jezierskiemu, iż wziął się sumiennie do tej pracy; widać to w starannej budowie wiersza i harmonii panującej w przekładzie. O ile wywiązał się z swego zadania co do oddania ducha poezji Longfellowa, wyrokować trudno bez porównania z oryginałem. Co nas jednak cokolwiek razi w przekładzie pana Jezierskiego, to zbyt częste mieszanie wyrazów indyjskich, w osobnym słowniczku na końcu Dumy wytłumaczonych.

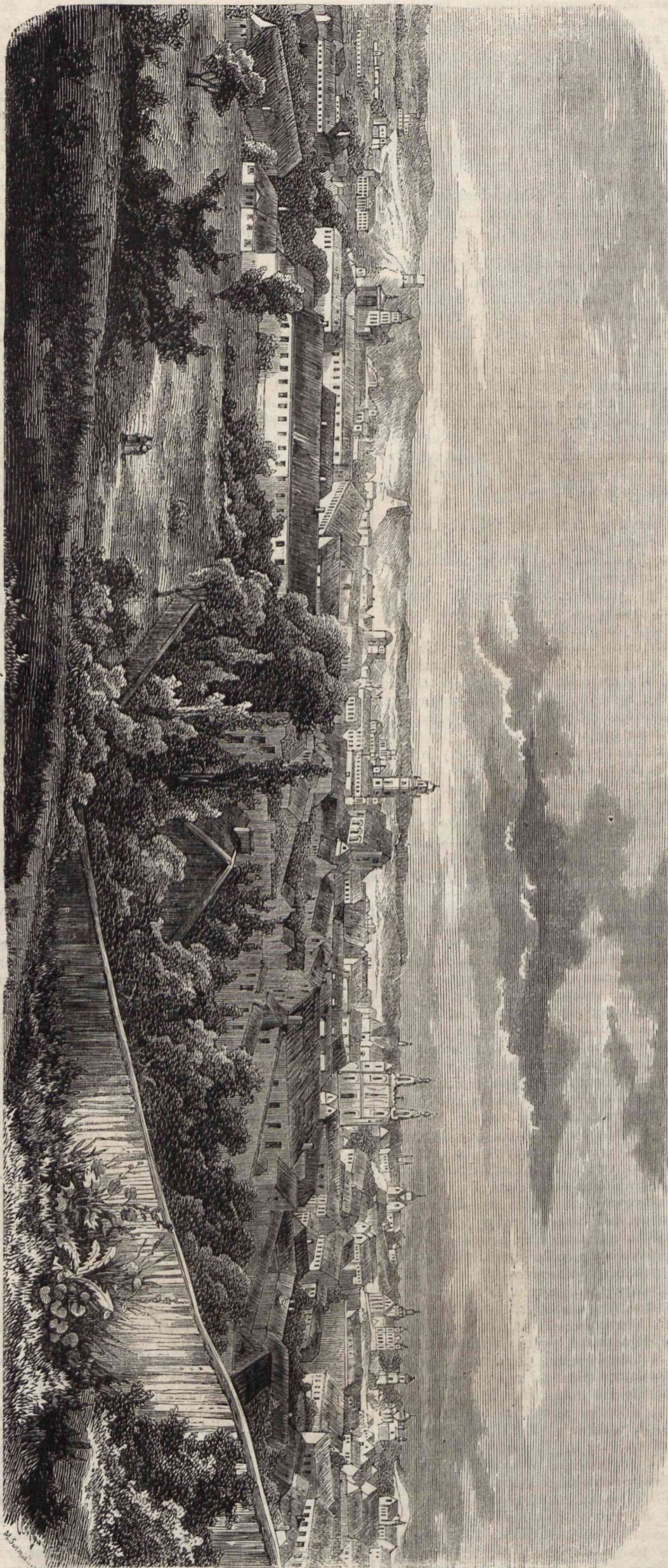
Pojmujemy że imion własnych nie potrzeba tłumaczyć na obcy język, być może też że wyrazy indyjskie nie razi mieszkańca Stanów Zjednoczonych, a nawet Longfellow nadał tym sposobem cechę miejscowości swojemu utworowi. Nie rozumiemy wszelako dlaczego w polskim przekładzie, zamiast wiewiórka, użyto indyjskiego *Adjdaumo*; *Ahmeek* zamiast bóbr, *Anneemeke* zamiast grzmot, *Jeebi* zamiast dusza i t. p.

Takich wyrazów naliczyliśmy w słowniczku pięćdziesiąt ośm; jeżeli do tego dołączymy mnóstwo imion własnych, także trudnych do wymówienia, to każdy przyzna, że natłok słów niezrozumiałych utrudnia niezmiernie czytanie zajmującej poezji i wrazenie jej piękności osłabia.

Sądzimy iż szanowny tłumacz przyjmie przychylnie tę naszą uwagę; i że przy dalszych swych pracach uniknąć zechce tego małego usterku, który przekładowi wiele uroku odejmuje.

W tych dniach księgarnia M. Glücksberga puściła w obieg Abecadlnik z historyi polskiej, zaopatrzonej kilkudziesięciu kolorowanymi litografiami sławnych rodaków z czasów dawnych. Abecadlnik ten bardzo ładnie wygląda, treść zaś jego i cały układ, oraz wierszyki zastosowane do pojęcia dziecinnego, przyjemną całość tworzą.

Wyszedt także Kalendarz ścienny chromolitografowany M. Fajansa, odznaczający się nader miłą prostotą i wielką starannością odbicia. Pojawit się dalej wydany nakładem Maksymiliana Glücksberga Kalendarzyk dla ludu wiejskiego, ułożony przez Franka z Wielkopolski (F. Staszica, autora obrazów wielkopolskich w naszym piśmie w roku zeszłym drukowanych). Są tam i drzeworyty, poważne i żartobliwe,



WIDOK OGÓLNY WILNA. (Rysował z litografii Podbielski).

a całość szczęśliwie pomysłana i ułożona. Artykuły moralne i pozytywne, wszystkie pióra pisarzy pracujących na polu piśmiennictwa ludowego. Ażeby książeczka ta rozeszła się pomiędzy ludem i aby go przyzwyczaić do używania kalendarza, należałoby nałożyć cenę jak może być najniższą. Wiemy iż przeszkodą do ustanowienia niskiej ceny jest obowiązująca u nas opłata stęplowa; gdyby wszelako można postarać się u władz właścicielskiej o jej zmniejszenie, lub też o uwolnienie tego małego kalendarzyka od opłaty stęplowej, z uwagi na jego użyteczność, to w takim razie wynikłaby ztąd wielka korzyść dla włościan.

LISTY Z WILNA.

W. Przybylskiego.

I.

Parę słów zamiast wstępu.—Pomniki i ich znaczenie.—Teraźniejszość i przeszłość.—Potęga tradycji w ludzie wileńskim.—Góra zamkowa, jej stan obecny.—Zamek górny, jego założenie i koleje jakim podlegał.—Góra Trzykrzyżowa, tradycja o niej przechowana i góra Bekieszowa.

Od czasu założenia Tygodnika Ilustrowanego, na kartach tego pisma spotykaliśmy ze wszech stron kraju nadsyłane opisy miejsc pamiętnych w dziejach, widoki świątyń Pańskich, zamków starodawnych i t. p.; z Wilna jednak, a nawet z całej prowincyi, zaledwie kilka luźnych znaleźliśmy opisów, a przecież i u nas przeszłość niezatartymi głoskami wypisała swe dzieje pomnikami, które ręka praocjów w rozmaitych chwilach żywota publicznego wznosiła; a chociaż niewiele może znajdziemy arcydzieł sztuki, które warto byłoby przekazać potomności, to w zamian są innego rodzaju arcydzieła—arcydzieła skryzalizowanego ducha, które nie zawsze w udatnej upamiętniły się formie, niemniej jednak są nam drogic, bo w tym wielkim pochodzie po dziejowym gościńcu, każdy naród inaczej znaczą ślady swego przejścia. My znaczyliśmy rozmaite chwile naszej przeszłości, tam zamkami, co teraz ruiną świadczą o dawniej potędze, owdzie wspinała świątynią lub skromnym kościółkiem wiejskim, z dzwonnica chwiejącą się, kurhanami na pobojowiskach dawnych albo krzyżami przy wsiach i drogach, bo lud nasz przedewszystkiem jest religijny. Kraj co tyle przeżył rozmaitych losu kolei, musi mieć i ma serc pomniki, do których, jako do świętej puścizny, sercem przyrósł na wieki. Poczytywaliśmy przeto za obowiązek sumienia, aby do wspólnego ogniska, w miarę sił naszych i możliwości, przynieść swój grosz wdowi; może za naszym przykładem inni, zdolniejsi wezmą się ochoczo do pracy, a wtenczas my powiemy: „Bóg zapłać,” i usuniemy się, spokojni wewnętrznie żeśmy swoje zrobili.

Laskawa pomoc kilku artystów miejscowych i zakładu fotograficznego pana Korzona w Wilnie, pozwala nam do opisów jakie zamierzamy przesyłać do Tygodnika, załączać widoki, które już same przez się będą miały tę zasługę, że przenosząc w rozmaite zakątki ziemi wierne odbicie pamiątek naszych, miejscowości, ludzi i t. p., przyczynią się do obeznania dalszych okolic z tém wszystkiem, co dla nas drogiem lub ważnym być może. Obraliśmy formę listów, bo ta nie zobowiązuje do żadnego z góry obmyślanego systematu, co byłoby dość trudnem, ze względu na środki miejscowe. Nieraz nam przyjdzie od rumowiska gruzów pleśnią wieków pokrytych, przeskoczyć do chwili obecnej, do jakiejś sceny z życia, któraby oznajmiła ogół czytelników z tém jak my żyjemy po wsiach i zaściankach, dworach i dworkach, miastach i miasteczkach.

W pomniku każdym pozostałym z przeszłości nie pragniemy widzieć kupy cegieł lub kamieni, wedle pewnego planu ułożonych, lecz tylko znak widomy owiej chwili, co przechodząc przez rozmaite fazy wieków późniejszych, musiała się odbić w dniu dzisiejszym. W takie pomniki jesteśmy zamożni, każda pięćdziesiątka ziemniaków jakieś na sobie wspomnienia, które wiernie spisywać jest obowiązkiem każdego. Święta to puścizna przeszłości, z której pokolenie obecne czerpie przykład i naukę. Nie idzie za tém, żeby teraźniejszość miała się kształtować na wzór wieków przeszłych, bynajmniej.—wszystko jest dobrém we właściwym sobie czasie, każda epoka życia narodu musi mieć swój wyłączny charakter, swe dążności, swój pogląd na obowiązki względem kraju i swych współobywateli, a to co było dobrém przed dwustu laty, obecnie w żaden sposób nie dałoby się zaprowadzić. Poszanowanie atoli przeszłości, pozwala rozwijać żywioły narodowe na właściwej drodze, nie zrywając tej tradycyjnej nici, co wszystkie wieki minione łączy w jedną harmonijną całość, postępującą naprzód w ciągłym dążeniu ku udo-skonaleniu swych form życiowych.

Błądzą ci co się na ojców targają gniewnie, szukają w nich winy, pragną nawet zatrzeć ślady tego co się po nich zostało w życiu, sądząc że potrafią stworzyć społeczeństwo nowe, wedle pewnych formułek pożyczonych u obcych, lub osnutych teoretycznie za stołem gabinetowym, bez dokładnej znajomości potrzeb narodu, jego przeszłości i charakteru.

Wszelkie konwencyonalne reformy są możliwe w państwie sztucznie utworzonym, co niema tradycyi i niema przeszłości; taką społeczność można na czas pewien weisnąć w ramki wielkiego falansteru; wszyscy bowiem w takim kraju są podatni do przyjęcia tych lub innych formuł życia, dlatego właśnie, że nic z sobą na świat nie przynieśli, że rozstrzelone interesa jednostek, niepołączonych żadnym węzłem moralnym z dniem wczorajszym, nie stają na

zawadzie przeobrażeniom podobnym. Rzecz się ma inaczej z narodem, bo, jak słusznie powiedziano: „państwa tworzą ludzie, ale naród każdy od Boga bierze swój początek.“ To też Opatrzność, powołując naród do życia, zlewa nań pewne posłannictwo, którego się on zaprzęć nie może, ale wciąż przez wszystkie wieki swojego istnienia musi rozwijać je stopniowo, nie szarpając się w konwulsyjnych rzutach. Zaparcie się przeto przeszłości lub chęć niebaczną zerwania z tradycją, jest zwróceniem narodu z dróg jakie mu Opatrzność wytknęła. W epokach przełomów społecznych, gdy falowanie opinii, zdań i przekonań nieraz mętą pianą pokryje czyste głębie ducha narodowego, może się zdawać pozornie że społeczność na manowce się zbłąkała, dróg nowych szukając; lecz to tylko obłęd chwilowy. Najbardziej rozbukane żywioły muszą przyjść do równowagi, a prąd rzeczywisty, przelamawszy wszystkie zapory, znowu posunie naprzód w stałym kierunku nawę dziejową. Terazniejszość i przeszłość, to skutek i przyczyna: oboje bez siebie istnieć nie mogą, ani też zostawać z sobą w rozterce.

Badając fizyognomią terażniejszą kraju, potrafimy odgadnąć przeszłe jego losy; bo w życiu społecznym nie się nie dzieje przypadkiem, jak również przeszłość narodu jest najlepszą rękomią jego przyszłości. Przeglądanie się przeto rozważne a pilne w historii wieków ubiegłych, dozwoli nam łatwiej poznać potrzeby terażniejszej chwili i wykaże nam najwłaściwsze środki, które tym potrzebom uczynić zadość mogą.

Poszanowanie tradycji silnie się przechowało w mieszkańcach starego Gedyminowego grodu i w całej Litwie. Lud nasz wielu pamiątkowych zwyczajów nie rozumie nawet znaczenia, a jednak spełnia je święcie, bo tak robili ojcowie. Przywiązanie do miasta rodzinnego wysłał każdy z młkiem matki; przelało się ono wraz z błogosławieństwem dziatwie otaczającej śmiertelne łożo rodzica, i dlatego wsiąkło w rdzeń duszy i najsilniejszy stanowi żywioł przyszłego rozwoju. Klasa uboższa nie zna historii, ale ma swoje legendy, swe opowiadania o przeszłości, które przechodząc z ojca na syna, może trochę ucierpiały na dokładności, lecz się szanują jak świętość; do nich się odwołują w ciężkich życia chwilach, one są podniecią do wytrwania i w pracy zachętą. Ilekroć raz zda-

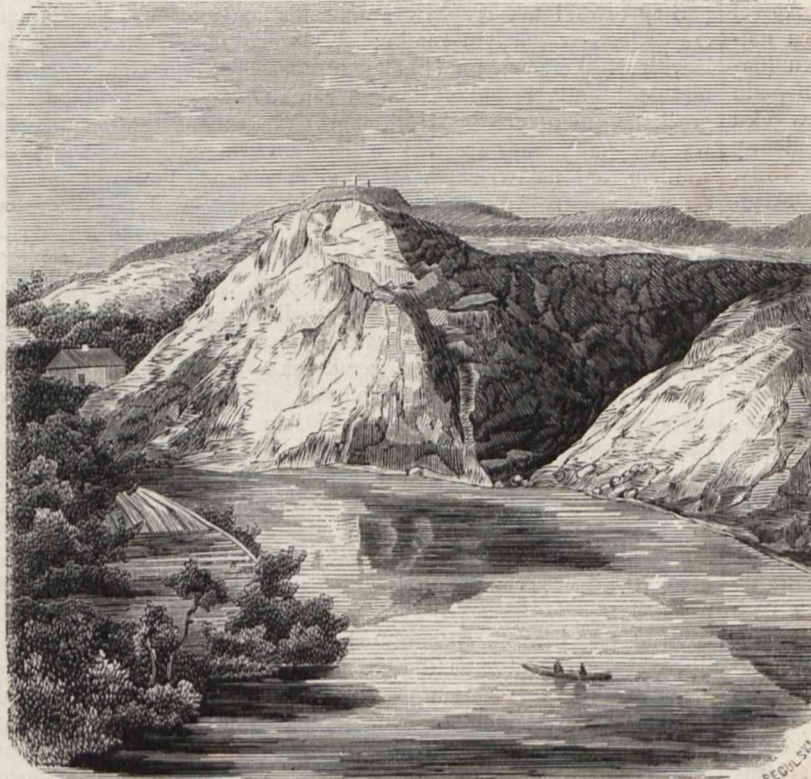
Mieszczanie wileńscy nie przedstawiają wcale owęj klasy ludności, którą w wielkich miastach znają pod nazwą *bourgeoisie*; nasze mieszczaństwo rozwijało się pod wpływem zupełnie innych okoliczności i na innych zasadach, nie więc dziwnego, że i stanowisko jego obecne zupełnie jest różne.

Klasę tę możemy podzielić na obywateli miejskich i rzemieślników; pierwsi, jako właściciele nieruchomości, więcej mają w sobie pierwiastku konserwa-

zionej. Owa walka kończy się przeobrażeniem stanu miejskiego przez konstytucją 1776 r. W bieżącym stuleciu klasa pracująca, przywiązana do swych praw i przywilejów cechowych, otrzymała nową ustawę rzemieślniczą, która zmieniając zewnętrznie postać stosunków, nie mogła złamać siły tradycji. Urządzenia cechowe, chociaż niezgodne z zasadami ustawy, zostały we zwyczajach, a ustawa rzemieślnicza, urzędownie tylko zakreślając przewód interesów tej klasy ludu, jest prawie martwą literą i źródłem ciągłego niepokoju. Jest to jeden z licznych dowodów przywiązania mieszczan i ludu naszego do owych tradycji uświęconych praw i zwyczajów, do owych pamiątek, które na każdym kroku spotykają mieszkańca grodu Gedyminowego i przywodzą mu na myśl przeszłość, chwile sławy i świetności.

Najstarszą ze wszystkich pamiątek wileńskich, bo sięgającą założenia miasta, jest samotnie stercząca na wierzchołku góry Zamkowej baszta z dawnego górnego zamku; przypatruje się ona od pięciu wieków miastu, co się u stóp góry rozsiadło, wybiegając przedmieściami na pochyłości wzgórków, które jakby wieńcem całe miasto okoliły.

Strykowski w swojej kronice, a za nim Kojalowicz, samemu Gedyminowi założenie Wilna i zamków górnego i dolnego przypisują, chociaż są ślady istnienia osady ponad rzeką Wilią jeszcze znacznie przed Gedyminem. Opisujący swe podróże Islandczyk Snohr Sturle-Sohn, wspomina o dwóch osadach, które nazywa Tryk i Welni. Zdaniem uczonych mają to być Troki i Wilno; oprócz tego w kronikach ruskich znajdujemy wspomnienia o Wilnie jeszcze w r. 1129. W każdym razie, choćby istniała jaka osada, to nie miała ona żadnego znaczenia, i prawdziwie politycznego bytu nabiera dopiero od czasów Gedymina, który wzniesieniem zamków, Wilno na stopie obronnego miasta



GÓRY BEKIESZOWA I TRZYKRZYŻOWA OD STRONY BERNARDYŃSKIEGO OGRÓDU. (Rysował z fotografii Podbielski).

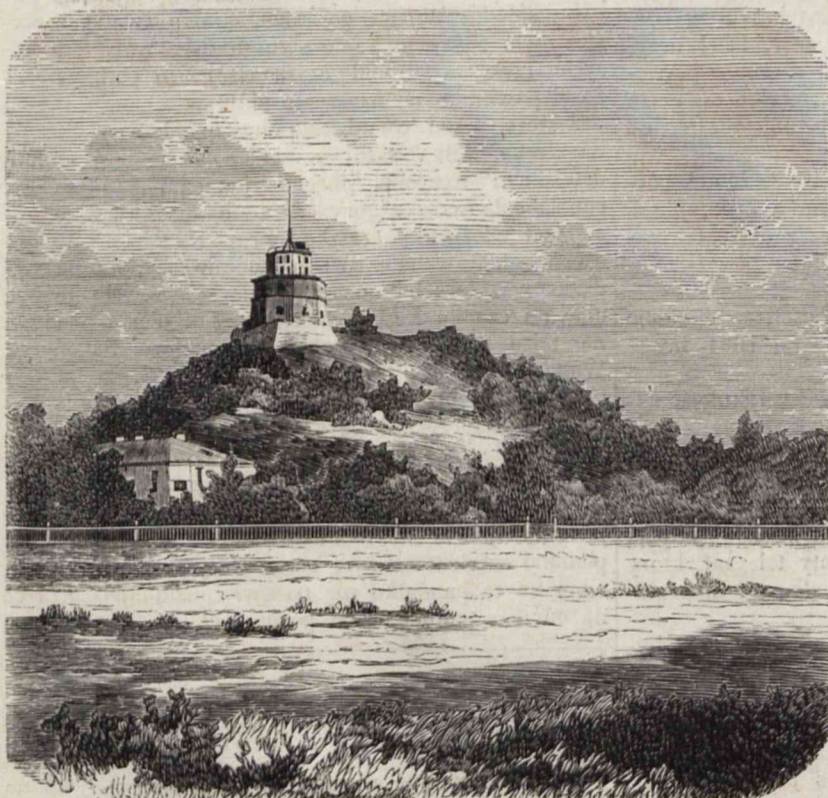
tywnego; lecz rzemieślnicy, których całym majątkiem praca, pojmując lub przeczuwając że kapitał ten w każdym położeniu będzie miał swe znaczenie, mniej oględni na jutro, stanowią nader znaczny żywioł miasta naszego, mianowicie od czasu jak zbawienny wpływ wstrzemięzliwości opróżnił szynkownie, a zmusił dla przyjaznej pogawędki, dla dzielania się myślami i nowinami, zbierać się po domach i wzajem krzepić siebie przypominaniem swych obowiązków, roz-

ważaniem swego położenia, rozpamiętywaniem czasów minionych i t.p.

Wprawdzie na wszystkie te rzeczy mają oni pogląd swój własny, może trochę dziwny i oryginalny, ale tak poczciwy, że aż się dusza raduje słuchając rozpraw podobnych. Stan miejski po unii, pomimo praw magdeburskich, których się chwyciły miasta nasze, nie mając praw innych, rozwijał się inaczej niż klasa średnia w zachodniej Europie. Mieszczanin oznaczał obywatela miejskiego, na równi z oby-

postawił.

Zanim przytoczymy legendę o założeniu miasta i zamków, przypatrzmy się stanowi obecnemu góry Zamkowej, która wsunęła się w sam środek miasta, i chociaż dla mieszkańców jego nieprzystępna, należy do najstarszych pamiątek. Załączone tu rysunki bliżej czytelników z jej kształtem i położeniem oznajmia. Obecnie na górze Zamkowej, oddzielonej od pasma gór korytem Wilejki, spostrzegamy na jednej stronie



GÓRA ZAMKOWA OD STRONY PLACU. (Rysował z fotografii Podbielski).

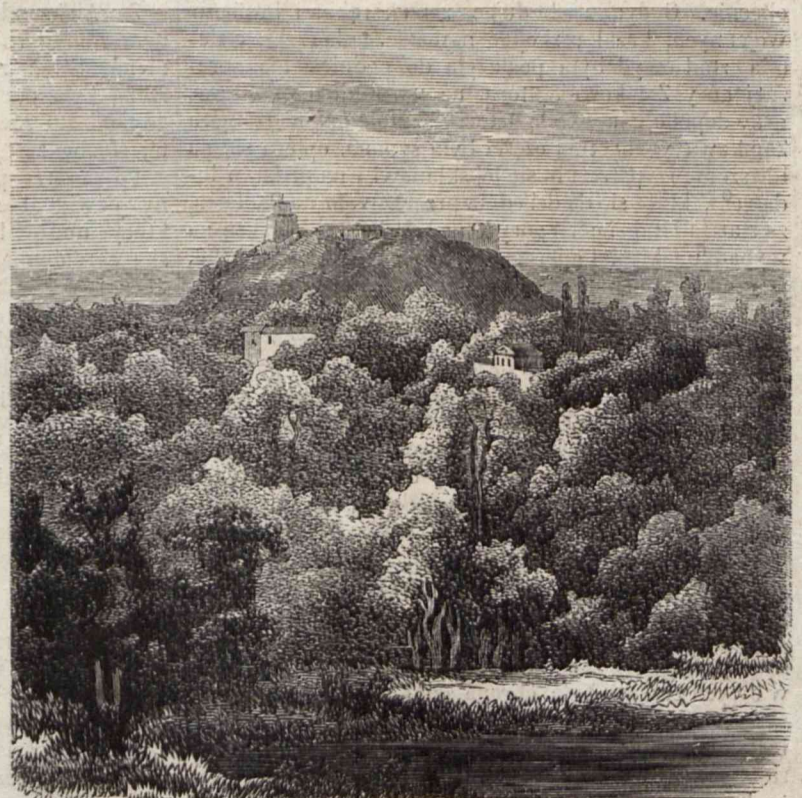
rzało się nam widzieć starego rzemieślnika, otoczonego czeladzią młodszą w dni świąteczne, która z religijnym skupieniem uwagi przysłuchiwała się opowiadaniu o dawnych czasach; nieraz, nie mogąc utrzymać na wodzy młodzieńczej krewkości, młodzi zakrzyknęli z zapalem, a na tych samych twarzach i w roziskrzonych oczach, w tych zaciśniętych muszkułach rąk spracowanych, widać że pod grubą tą powłoką wre siła nielada, że w tych piersiach zacność gości.

telem miejskim. Stan rzemieślniczy od czasów Zygmunta Augusta stanowi osobną klasę ludu, której magdeburskie nawet prawo za mieszczan nie przyznawało. Po śmierci Zygmunta Augusta, który licznymi przywilejami starał się podnieść miasta litewskie, a szczególnie ukochane przez siebie Wilno, zaczyna się cały szereg starć i dążeń rządowych ku poniżeniu klasy mieszczan i reakcji na tradycji opartej, a słabymi przywilejami i niefortunną Magdeburgią stwier-

ośmiokątną basztę, a na drugiej stronie w gruzach, jedyną ścianę kościoła św. Marcina, założonego przez Jagiełłę.

Przed dwudziestu kilku laty włączono góry Zamkową i Trzykrzyżową do fortyfikacji cytaдели, otoczono pierwszą wałem i fossą, na wierzchołku ustawiono armaty, we wnętrzu porobiono składy prochowe i t.p.

Kształt tej góry, widocznie sypanej ręką ludzką, jak to było we zwyczajach przy budowaniu zamków



GÓRA ZAMKOWA OD STRONY BOTANICZNEGO OGRÓDU. (Rysował z fotografii Podbielski).

obronnych na Litwie, jest podłużny; stok od strony miasta stromy i nieprzystępny, od wnętrza zaś cytadeli prowadzi na wierzchołek szeroka droga, po której można wygodnie wjechać parokonnym powozem.

Tam gdzie się góra osypała, widzimy ślady sklepień z cegły i kamienia, co naprowadza na myśl, że wewnątrz góry musiały być, na wzór wszystkich średniowiecznych zamków, jakie podziemia, czy przejścia skryte, chociaż żadnej o tym wzmianki nie spotykamy w pamiętnikach historycznych.

Czarujący jest widok z wierzchołka góry Zamkowej na miasto i okolice. Wzniesienie górnego zamku najprawdopodobniej musimy odnieść do 1348 roku (data niepewna). U Düsburga spotykamy opisanie napadu Krzyżaków na przedmieścia zamku Gedymina w roku 1318, w lecie około narodzenia św. Jana. Podobny napad na to miejsce opisują jeszcze kroniki w r. 1324.

O założeniu zamku górnego przez Gedymina, Strykowski podaje następną legendę. Gedymin, po założeniu zamku trockiego, polując w okolicznych lasach, przyszedł nakoniec z całym swoim myśliwstwem na dolinę Swintoroaha, przy ujściu rzeki Wilny do Wilii położonej, gdzie ciała książąt palono i gdzie stała świątynia Perkuna, otoczona jeszcze nietkniętym ręką ludzką lasem. „Tam tedy (pisze Strykowski) około przereczonych źgłisk w puszczy między górami, które dziś Lysemi zowią, polując, oprócz innego zwierza mnóstwa, sam postrzelił tura wielkiego z kuzze i zabił go na tej górze, gdzie dziś zamek wyższy wileński, którą od tego tura i dziś Turzą górą zowią, a skórę i rogi jego, złotem oprawione, miasto zacnych klejnotów długo w skarbie chowano, aż do czasów Witoldowych; a Witold, iż pospolicie z tych rogów na wielkich biesiadach i częstowaniu posłów postronnych pijał, tedy jeden darował je za wielki upominek cesarzowi rzymskiemu Zygmuntovi, na onym sławnym zjeździe królów i książąt w Lucku r. 1420.“ Znużony całodniowym polowaniem, kiedy usnął Gedymin, pokazał mu się we śnie wilk żelazny niezmiernie wielkości, a wycie jego tak było ogromne, jakoby sto wilków wyło. Sen ten tłumaczył Lezdejko, najwyższy kapłan, następnie: że wilk żelazem okryty oznaczał stolicę Litwy, która będzie słynąć na wszystkie światła strony. Takie jest podanie o założeniu zamków obronnych w Wilnie; wygląda ono jako powieść, ale niemniej charakteryzuje dobrze epokę i pojęcia owoczesne.

Bez wątpienia góra Turza czyli Zamkowa była pierwotnie mniejszym daleko wzgórzem, kończącym pasmo gór okrążających prawy brzeg Wilejki, która dawniej wpadała do Wilii przed Turzą górą, nie zaś między Zamkową i Trzykrzyżową, jak to ma miejsce obecnie. Gedymin, budując zamek rękami brańców wojennych, kazał rozkopać nowe łożo dla rzeki, a ziemia ztąd wydobytą posłużyła do podniesienia narożnej góry Zamkowej, którą, na wzór innych zamków, prawdopodobnie wodą otoczył. Mniemanie iż góra Zamkowa w znacznej części była sypana, opiera się na bliższym przypatreniu się jej składowi i na podaniu ludowem, które się do dziś dnia przechowało na Podlasiu, że ztamtąd lud chodził góry kopać do Wilna, a także na wypadku jaki miał miejsce za czasów Witolda w r. 1396, gdy od zbytich upałów część góry Zamkowej osunęła się na dwór Moniwida wojewody, stojący pod górą i zasypała służących jego i skarby. Mury górnego zamku podczas tego wypadku żadnej szkody nie poniosły. Na planach z XVI wieku widzimy zamek górny z czterema wieżami blachą krytymi; widocznie że taki musiał być jego kształt pierwotny, chociaż żadnej o tym wzmianki nie spotykamy u kronikarzy. Kościół św. Marcina kazał stawiać Jagiełło na górze Zamkowej, świątynia ta jednak już w wieku XVI była zruinowaną i opuszczoną, jak wspomina Strykowski w swojej kronice. Zamek górny, jako silna naówczas forteca, był celem wielu napadów podczas zatargów Kiejstuta i Witolda z Jagiełłą i Skirgilem, po kilkakroć przechodząc z rąk do rąk. Najślawniejszą atoli w owych czasach była obrona zamku przez Moskorzewskiego. Oblegali wtenczas Wilno, oprócz Prusaków i Żmudzinów, których książę Witold prowadził, Krzyżacy przybyli z posiłkami, hrabia Derby, później książę Lancaster, znany w dziejach pod imieniem Henryka IV i mistrz inflancki.

W dobrych nadziejach szli z Witoldem najezdniczy pod Wilno, które opasali wojskiem dokoła, aby mu przerwać wszelkie stosunki z krajem i nie dopuszczać posiłków ani też żywności. Cała ludność wileńska opuściła swe domostwa i szukała schronienia w Krzywym-Grodzie, gdzie na czele wojska był Kazimir Korygajło; w górnym zamku dowodził Moskorzewski, a w trzecim zameczku bliskim była nieliczna załoga wojska. Witold położył się obozem naprzeciw Krzywego-Grodu, i podmówiwszy Rusinów wewnątrz dolnego zamku będących, aby na dane hasło ogień w kil-

ku miejscach podłożyli, sam szturm przypuścił. Wtenczas właśnie wybuchnął pożar w dwóch bramach zamkowych, zdradziecką ręką podłożony. Cała forteczka była drewniana, nie więc dziwnego że załoga się strwożyła, a ludność zamknięta powiększyła jeszcze zamieszanie, i niepodobna było stawić oporu oblegającym, którzy czternaście tysięcy zamkniętego ludu w Krzywym-Grodzie w pień wycięli. Korygajło podług zdania jednych w zamieszaniu zabity, podług innych pojmany i z rozkazu Witolda ścięty.

Strykowski tak rozprawia o bronieniu się Moskorzewskiego w górnym zamku: „Wyższego zamku Polacy z Moskorzewskim Mikołajem starostą wileńskim mężnie bronili, iż ani spaleniem zamku niższego, ani groźbami nieprzyjacielskimi, ani ukazywaniem głowy Korygajły, ani srogiem a gwałtownym szturmowaniem, ani ustawicznym strzelaniem z dział, które mi większa część muru rozrzuconą i rozwaloną została, do poddania się przywieść się nie dali. A bojąc się zdrady między sobą, Rusaków i podejrzanych ludzi z zamku wygnali, sami się mężnie broniąc, a Niemców szturmujących we dnie i w nocy odbijając. Miejsca te, gdzie były mury od ustawicznej strzelby upadły, naprawowali i skórami bydlęciami, także wańtuchami wełną natkanemi zasłaniali, a tak strzelbę z dział niemieckich oszukiwali. Naostatek ciałami swojemi nieprzyjaciółm szturmującym, a do zamku opornie ciśnącym się, zastawiali się w dziurach wybitych i spychali ich z góry drzewy, kołami, kamieniami i rumem muru potluczonego, a Niemcy młycem się toczyli na dół jak piły, a drudzy na członkach okrutnie porażeni, drudzy szyje połamawszy, już na dół poleciali pomarli.“

Śród takich walk rozpacznych upłynęło pięć tygodni ciężkiego oblężenia dla polskiej załogi i w wyższym zamku. Tymczasem przyszły na pomoc mężnym obrońcom zimna jesienne i choroby przeróżne, które trapić poczęły wojska krzyżackie, obozujące pod gołym niebem; przytęm proch wyszedł zupełnie, a Skirgajło, zebrawszy resztę niedobitków, napastował podjazdową wojną z tyłu nieprzyjaciół. Wszystkie te przeciwności zmusiły Krzyżaków odstąpić od Wilna.

W r. 1394 górny zamek, zrestaurowany przez Jagiełłę, oddany był do obrony Oleśnickiemu. We trzy lata później wytrzymał oblężenie mistrza Ulryka Jungingen, który zebrawszy liczne zastępy najemników w Niemczech, w Anglii i we Francji, wraz ze Skirgajłą i jego Rusinami postanowił Wilno opanować.

O następnych losach zamku górnego, aż do czasów Aleksandra Jagiellończyka, to tylko wiemy, że kilka razy niszczone przez pożar, następnie znowu był odnawiany.

Za Aleksandra wzniosła się i powiększyła w górnym zamku zbrojownia, której spis w r. 1504 wymieniono. Straż zamku górnego, aż do r. 1505, powierzona była mieszczanom wileńskim, i tylko od czasu gdy miasto zaczęto murem obwodzić, mieszczanie od tej służby zostali uwolnieni.

Po pożarze przypadkowym w r. 1513, zamek górny dzwignął się znowu za panowania Zygmunta I, który umieścił tam bibliotekę wraz z aleksandrowską zbrojownią. W r. 1520 pożar znowu niszczy zamki górny i dolny.

Panowanie Jana Kazmirza cios ostateczny zadaje zamkom. W ciągu lat od roku 1653 do 1661 brane i odbierane, niszczenia w wojnie.

W pierwszej jeszcze połowie bieżącego stulecia góra Zamkowa, wraz z ruinami zamku i szczątkami kościoła św. Marcina, okolona bulwarami, była najprzystojniejszym miejscem przechadzek publicznych. Obecnie wchodzi ona w skład cytadeli. Z kościoła św. Marcina została jedna ściana, a na baszcie jedynej wznosił się jeszcze przed kilku laty telegraf, który obecnie został bez użytku, wraz z domem drewnianym na górze zbudowanym.

Góra Trzykrzyżowa, oddzielona od Zamkowej bitym nurtem Wilejki, najwyżej dzwiga swe płaskie, stożkowane czoło, a na jej wierzchołku od wieków trzy krzyże wyciągają ku niebu swe ramiona. Niedługo cała góra i sąsiednie były zarośnięte wyniosłym lasem sosnowym, lecz przed 42tu laty las ten wycięto, co wiele odjęło uroku całemu krajobrazowi, a mieszkańców Wilna pozbawiło najroskoszniejszej przechadzki po wijących się wężykowato ścieżkach, po stokach gór Trzykrzyżowej i Bekieszowej. Podanie o górze Trzykrzyżowej jest następnę.

Piotr Gasztold, pełnomocny rządcza Olgerda w Wilnie, pojąć miał za żonę Annę Bieczacką i sam przyjął jej wiarę, a mając łaskę i zachowanie u Olgerda, wyjednał pozwolenie sprowadzenia do Wilna franciszkanów, dla których wybudował klasztor wygodny, silnie oparkaniony, dla bezpieczeństwa od napaści pogan. Z początku nieobeznani z językiem ludu, lekliwi mniśli blisko roku kryli się w klasztorze, gdzie mieli

jedną izbę na kaplicę obróconą. Lecz gdy powoli zaczęli się zbliżać do ludu i z całą zarliwością go nauczać, nie podobało się to wielu wajdelotom; zaczęli przeto podbudzać pogan przeciwko tym opowiadaczom naszej wiary. Gasztold udał się do Tykocina, a kapłani litewscy uznali tę porę za stosowną do pomszczenia się na franciszkanach.

Zakonnicy, zwyczajem swoim, z krzyżem na czele wyszli na miasto, lud nauczając; lecz przyjęci z nadzwyczajnym oburzeniem, zelżeni, obrzuceni błotem i kamieniami, cofnęli się do klasztoru. Wkrótce tłumy pogaństwa otoczyły klasztor, a podniecone przez wajdelotów, z krzykiem wściekłości do wrót się dobijały. Zakonnicy spokojni, z modlitwą na ustach, oczekiwali śmierci męczeńskiej, a tylko siedmiu, to jest połowa, uciekło do lasów na górach przyległych Zamkowej. Litwini tymczasem wyłamali wrota i cała rozbestwiona tłuszcza wpadła do klasztoru, zniszczyła go do szczytu i siedmiu pozostałych franciszkanów wyciągnęła na rynek, by się pastwić nad niemi; skrzepowanych, zbitych ciągnięto przed sąd, zapewne jakiegoś pogańskiego kapłana, który skazał ich na śmierć i wnet wyrok wykonany został. Siedmiu męczenników ścięto na rynku. Lecz niedosyć na tém: część tłumu poszła w pogoń za resztą zakonników, i zlapawszy ich blisko góry Zamkowej, ukrzyżowali w pół żywych i zrzucili z Łysiej góry z naigrawaniem. Za powrotem dopięro Olgerda winni byli srogo ukarani, i podobno pięciuset mieszczan, przekonanych o przewodnictwo, ścięto z jego rozkazu. W liczbę tę trudno uwierzyć, chociaż w owym czasie takie sądy nie były rzadkie; skazywał winnych nie sąd, ale wola wielkiego księcia, wyrok przeto od jego chwilowego usposobienia zależał i mógł się on nie oglądać na to, że ludność całego miasta, zaledwie z kilkunastu tysięcy złożona, nie mogła takich ofiar ponosić. Rzecz jednak możliwa, że jakiś z pobożnych kronikarzy, pragnąc choć pismem pomścić się na poganach, kilkuset do liczby zabitych dolożył.

Ciała męczenników ze czcią pochowano w miejscu gdzie dawniej stał klasztor, a na Łysiej górze na pamiętkę postawiono słup i trzy krzyże. Wieki przemieniły, zamki obronne, symbol władzy i mocy, legły w gruzach, a trzy proste krzyże przetrwały wszystkie zmienne losy koleje, i wyciągają, jakby błogosławiąc grodowi Gedymina, swe ramiona.

Męczeństwo franciszkanów było pierwszym hasłem wprowadzenia wiary Chrystusa na ziemi litewskiej; zaledwie jednak dwadzieścia kilka lat upłynęło od tej chwili, a już cała Litwa przyjmuje chrzest i szaty białe z rąk Jadwigi i Jagiełły.

Od góry Trzykrzyżowej nieznaną pochyłością posuwa się ku Wilejce góra Bekieszową zwana, i piaszczystym odsypem kapie swe stopy w wartkiem korycie rzeki, która od czasu do czasu podmywając górę, powoduje jej osuwanie się ciągle.

Jeszcze przed dwudziestą laty pamiętamy okrągłą wieżyczkę, kilka sążni wysoką, co się nad samem urwiskiem wznosiła; obecnie już jej i śladu niema, runęła cała wraz z góry odłamem do rzeki. Znalezione pod wieżyczką czaszkę, wraz z czapką żółtą jedwabną, haftowaną w różnobarwne wzory, można widzieć w zbiorach muzeum wileńskiego. Ma to być głowa i czapka Kaspra Bekiesza. Jak niesie podanie, na téjże górze był pochowany pierwój Panończyk Wadasz.

Lud miejscowy dziwne o téj górze opowiada baśnie, jak naprzykład: iż Kasper Bekiesz, dzielny wojownik, ale zły katolik, ciągle się waśnił z księżmi i za to Pan Bóg go ukarał; bo gdy raz podczas uczył się założył, że konno w całym rynsztunku bojowym wjedzie na Bekieszówkę od strony Wilejki, pomimo dzielności konia kark w téj przygodzie skręcił, i na tę pamiętkę nie na święconem miejscu, lecz na górze samotnej został pochowany.

Jędrzej Śniadecki.

(Dokończenie.)

Zwróciliśmy już uwagę na Śniadeckiego, jako na uczonego chemika i genialnego fizyologa, który swoje twórcze pomysły, wsparte gruntownymi badaniami, podał w znakomitem dziele. Dzieło to, będąc przetłumaczone na języki europejskie (na niemiecki dwukrotnie, przez Moritza w Królewcu 1810 i Neubiga w Norymberdze 1821; na francuzki przez Ballard i Desaix 1825), zalecone przez krytyków, rozniosło jego sławę po świecie jako genialnego filozofa, co stworzył nową epokę w ważnej nauce. Ale oprócz tego należy go uważać pod innemi jeczczę, droższemi dla nas względami, mianowicie jako pisarza z wielkim wpływem na język i społeczność polską, tudzież jako lekarza i zacnego człowieka.